

J. HAWTHORNE.

# Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

I.

## W ciemnościach.

Okolo roku 1881 poczał się zachodni koniec ulicy Wolności w Nowym Jorku rozszerzać i przybierać wielkomięjski wygląd. Na miejscach małych, niskich domków, pozostałych z dawnych lat, zaczęto coraz częściej budować okazałe gmachy, wysokie, foremne, według wszelkich wymagań nowoczesnej architektury.

Kto choć trochę zna sposób zabudowywania wielkich miast Ameryki, może sobie łatwo wyobrazić, że ten wielkomięjski wygląd, jaki poczęła przybierać ulica Wolności, nie odpowiadał w zupełności albo przynajmniej bardzo mało wymogom estetyki. Jakkolwiek bowiem wielkie, wysokie domy, wszystkie na jedną modłę budowane, mogą być bardzo praktyczne i stanowić o dobrą miastu, to jednak o wiele bardziej malowniczo przedstawiają się nieforemne, niskie domki, jakie spotykać można dzisiaj jedynie w małych miasteczkach. Leży to już w naturze ludzkiej, że wolimy patrzeć na różnorodność, a nie lubimy jednostajności. Pomimo to jednak nieprzyjemnie uderza nas widok starego, niskiego domku, ściśniętego ze wszystkich stron olbrzymimi kamienicami.

W najstarszym i bez kwestyi najmniej stylowi czasów dzisiejszych odpowiadającym domu na zachodnim końcu ulicy Wolności znajdował się francuski wyszynk wina. Naokoło tej małej gospody rozsiadła się bowiem kolonia Francuzów. W każdy dzień wieczorem można było kolonistów widzieć w starej szynkowni, jak, siedząc grupkami przy stołach i stolikach, popijali wino, grali w domino i rozprawiali o najrozmaitszych sprawach, żywo przytem, według swego zwyczaju, gestykulując.

Winiarnia mieściła się w drewnianym, dwupiętrowym budynku, który z jednej strony przytykał do olbrzymiej kamienicy, z drugiej do dziedzińca, zawalonego deskami, belkami i rozmaitemi rupieciami. Dziedziniec ten należał bowiem do handlarza drzewem. Front domu ozdobiony był werandą, sądząc z jej urządzenia, przed wiekami jeszcze zbudowaną, z drugiej zaś strony, od dziedzińca, przyczepiona doń była przybudówka, coś w rodzaju altany. W oknie wystawowym szynkowni stało mnóstwo flaszek z winem rozmaitego gatunku i rozmaitej marki, a ponad flaszkami zwieszała się sucho zieleń, którą okno przystrojono. Powieść nasza zaczyna się bowiem w czasie między Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem, kiedy zwykle wszystkie domy w Ameryce są ozdobione zieleńią.

Niskie, wąskie, od góry do połowy oszklone drzwi zamykano na noc jedynie na prostą zasuwkę; poczciwy właściciel winiarni był widocznie przekonany, że złodzieje nie będą się łakomić na drobną zdobycz, jakaby mogli uzyskać. Z małej sionki wchodziło się na lewo do niedużej, ale czystej, ładnymi tapetami wybitej izby, której jedną ścianę zajmowała szynkownia, przy drugiej stało kilka małych stolików. Druga izba, znacznie większa, stanowiła właściwą gospodę. Był tam jeden wielki i kilkanaście małych stolików, obok których naturalnie były krzesła dla gości, wzdłuż ścian stały rzędem na półkach flaszki z winem, a w rogu pokoju znajdowała się duża beczka z piwem. Na ścianach zawieszono też kilka oleodruków, mających być cenną ozdobą gospody.

W sieni, tuż obok wejścia do szynkowni, były schody, prowadzące na pierwsze piętro, gdzie od frontu znajdował się pokój sypialny gospodarzy, to jest właściciela winiarni i jego żony, od tyłu zaś sypialnia ich dzieci. W dużej piwnicy złożone były beczki z wina, paki i rozmaite rzeczy, których w szynkowni nie potrzebowano. Wogóle winiarnia robiła nawet dosyć miłe wrażenie, ale dom cały zanadto tchnął starożytnością. Fundamenty były już dobrze zarysowane, w niektórych miejscach nawet już się zapadły, dyle pod podłogą trzeszczały okropnie, jeśli ktokolwiek szedł po nich, słowem, zdawało się, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym się ta stara rudera zawali. Na razie jednak gospoda była jeszcze bardzo uczęszczana, bo wino było w niej dobre i nie drogie.

Ruch w tej części miasta był jeszcze bardzo mały, zaledwie dochodziły tutaj odgłosy ruchu, jaki ożywiały ulice śródmieścia. W szynkowni można było słyszeć od czasu do czasu dudnienie kolei na-

powietrznej, dźwięk dzwonków tramwaju konnego, ale zdawało się, że są to odgłosy z bardzo daleka. Mała winiarnia, o której mówimy, była, można rzec „poza wielkim światem“ i aż do rana dnia 30 grudnia 1881 r. na kilkumilionową ludność Nowego Jorku wiedziało może stu ludzi tylko, że Ludwik Hanier wogóle żyje na świecie i prowadzi handel winny w stałej ruderze, ostatnim domu przy ulicy Wolności. Tego dnia dopiero rano zaczęło się nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, interesować w całym Nowym Jorku skromną gospodę; nazwisko Hanier było na ustach wszystkich; kto żył tylko, ten rozprawił z żywością o Ludwiku Hanier, a wszystko to dlatego, że poczciwy właściciel winiarni w nocy z 29 na 30 grudnia w tajemniczy sposób zszedł ze świata.

Noc na 30 grudnia była nadzwyczaj ciemna, do tego deszcz lał nieprzerwanie. Nic dziwnego, że wobec takiej niepogody, pomimo, że to był tydzień świąteczny, na ulicach nie było ani jednego człowieka. Goście Ludwika Haniera również przedzie jak zwykle rozeszli się do domów, a on sam, czując się dosyć zmęczonym, zamknął gospodę wcześniej. Okolo jedenastej w nocy już był w łóżku i usnął, rad, że może przez kilka godzin wypocząć i wyprostować znużone członki. Musiał spać dobrze i śnić słodko, bo to był ostatni sen w jego życiu, a Hanier był nazbyt uczciwym, nazbyt dobrym człowiekiem, aby mu sumienie spać nie dawało.

Jednak nie spał długo. Może była godzina pierwsza po północy, kiedy żona jego nagle się przebudziła. Co to było? — Z początku nie chciała budzić męża, usiadła więc na łóżku i słuchała.

W takim starym, ruiną grożącym domu, można słyszeć rozmaite szmery, zwłaszcza w czasie burzy. Może belki i dyle trzeszczały, może też myszy ułaniały po podłodze. Do takich szmerów, które wprawdzie mogły przestraszyć obcego, pani Hanier była już przyzwyczajona. Ale dzisiaj ten szmer wydał się jej innym i ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie, jakaś nieokreślona trwoga z powodu urojonego może niebezpieczeństwa. Matka, mająca sześcioro dzieci, żona, kochająca swego męża, jest czuniejszą i ma bardziej subtelne zmysły, jak inni ludzie. Przypomniała sobie pewne wypadki, zaszłe późnym już wieczorem i to utwierdziło ją w przekonaniu, że ich cichemu domostwu grozi okropne nieszczęście. Szmer zaczął się na nowo. Nie zdołała wytrzymać i zbudziła męża. Z trudem otworzył Hanier powieki — ostatni raz w swem życiu.

Żona odkryła mu swoje obawy; poczał jej tłumaczyć, aby się uspokoiła, ale nadaremnie. Zaczął więc i sam słuchać i wkrótce musiał przyznać, że szmer, jaki dochodził jego uszu, był innego zupełnie rodzaju, aniżeli zazwyczaj. — Słyszał ciche stapania po podłodze, przytłumione jakieś głosy i dźwięki, których nie mógł rozróżnić, potem jakby brzęk szła. A właśnie pod sypialnią znajdowała się szynkownia, z której, jak mu się zdawało, dochodziły owe szmery. Czyżby do gospody wdarli się złodzieje?

Niemożliwem to nie było. Hanier wprawdzie zarygłował w wieczór drzwi, ale złodzieje mogli je przecie wysadzić, jeśli sądzili, że im się to opłaci. Teraz, zmożony jeszcze snem, sądził, że zna przyczynę tych szmerów. Zdawało mu się, że wie, kto jest na dole, a jeżeli się nie mylił, to nie było żadnego niebezpieczeństwa, chociaż w każdym razie należało rzecz zbadać. W krótkich słowach ożnajmił to żonie, ubrał się i przygotowywał się do zejścia na dół, aby się dowiedzieć o przyczynie szmerów. Równocześnie wstała i pani Hanier i udała się do przyległego pokoju, w którym spały dzieci. Zbudziła najstarszego syna, dziesięcioletniego chłopca, polecając mu, aby poszedł za ojcem. Według jej przekonania, musieli się do gospody wdrzeć złodzieje, których należało wypłoszyć, unikając zetknięcia się z nimi i ewentualnej walki.

Gdy chłopiec się ubrał, powróciła do swojej sypialni, chcąc napomnieć męża, aby się miał na ostrożności i nie wystawiał się na niebezpieczeństwo. Ale Hanier'a już nie było w sypialni. Wybiegła więc za nim i stanęła przy schodach.

Panowała tam nieprzebita ciemność. Pani Hanier słyszała jeno trzeszczenie schodów pod stopami jej męża, który, jak sądziła, znajdował się już niedaleko ziemi. I w tej chwili nastąpiła wewnątrz gospody cisza, jakgdyby i złodzieje zaczęli podsłuchiwać, czy im co nie grozi. Deszcz lał strugami, wiatr huczał przeraźliwie, zresztą uszu jej nie dochodził żaden szmer. Naraz usłyszała szybkie kroki w szynkowni i stukot otwierających się drzwi. Zimny wiatr powiał po sieni — złodzieje widocznie rzucili się do ucieczki.

Tak sądziła pani Hanier. Jej mąż był prawdo podobnie również tego samego zdania. Stał on na schodach tak wąskich, że dwoje ludzi z trudnością tylko mogło się na nich przecisnąć i wyteżyl wzrok w ciemność. Czyżby go na prawdę okradziono? Czyżby na prawdę złodzieje uciekli ze zrabowaniem jego mieniem?

Dotychczas, jak wspomnieliśmy wyżej, był innego zdania; teraz jednak, gdy spostrzegł, co się dzieje, postanowił ścigać złodziei i szybko zbiegł po schodach na dół.

Naraz żona jego, czekająca z zapartym oddechem na górze, ujrzała jasny, olśniewający błysk, a zaraz po nim usłyszała okropny jakiś trzask. Równocześnie zaś zobaczyła swego męża, jak gwałtownym ruchem naraz się wyprostował, a potem w tył się pochylił — poczem znów wszystko ogarnęły ciemności. Ale po chwili ktoś się koło niej z trudem przesunął i wszedł do sypialni dziecięcej, a przez nią na stary, zmurszały już prawie balkon, wychodzący na dziedziniec. To musiał być jej mąż, bo naraz usłyszała jego głos, do którego okrzyku zranionego zwierza podobny. Co krzyknął, nie słyszała. Strach i groza przytępiły jej słuch; szmer deszczu, wycie wichru pochłonięło jego głos. Usłyszała znów kroki, jakby mąż jej wracał. Rzeknawście Hanier dowlókl się do łóżka, opadł na nie, potem ciężko zesunął się na ziemię i leżał na wznak bez ruchu. Na żadne pytanie, na żadne przysięgi zrozpaczonej kobiety nie dawał odpowiedzi.

Poczciwy, zany Hanier był już trupem.

Nieprzytomna prawie padła biedna kobieta na kolana przy zwłokach. W uszach jej brzmiał jeszcze huk strzału, który jej małżonka pozbawił życia.

Gwałtowna, nagła śmierć ma zawsze w sobie coś strasznego. Tutaj grozę wypadku potęgowała ciemność i burza. Pani Hanier nie mogła wprost pojąć, aby jej mąż, przed chwilą jeszcze pełen siły i zdrowia, był już trupem. Zaszło to tak nagle, tak niespodziewanie!

W obłędnej trwodze ukłękła znowu przy zwłokach, starając się przywołać je do życia, zbudzić. Wołała na męża po imieniu, pięściwemi słowy chciała wydobyć zeń choć dźwięk jaki — nadaremnie.

Z głębokiej rany, jaką miał zmarły na pierśsiach, a której pani Hanier z powodu ciemności nie mogła zauważyć, płynęła obficie krew na jej ręce, podtrzymując zmarłego, na jej białiznę i upłynęło kilka minut, kiedy wreszcie biedna kobieta przyszła do tego strasznego przekonania, że trzyma w swoich rękach jeno cielesną powłokę swego męża, którego duch był już na tamtym świecie.

Tymczasem syn jej wybiegł na odgłos strzału do sieni, ale zaraz się cofnął do tylnego pokoju, gdzie w ciemności, nie wiedząc o tem, musiał się być spotkać z ojcem. Może chłopczyzna usłyszał kroki uciekającego mordercy i sądził, że zbrodniarz będzie uciekał przez podwórze? Pobiegł więc na balkon i pograżył oczy w mrok. Młde światło latarni oświecało słabym blaskiem jeden róg dziedzińca. Chłopczyźnie zdawało się, że widzi wśród deszczu i nocy właśnie w tym rogu cień jakiegś ludzkiej postaci, która naraz wynurzyła się z ciemności i znowu w ciemność zapadła. Trwało to мгніе n e oka. Czy postać ta była duża czy mała, czy był to mężczyzna czy kobieta, ba, czy postać ta nie była wogóle wytworem w burzonej jego dziecięcej fantazyi — tego nie wiedział.

— Trzymajcie złodzieja! — wołał, co miał sił. Ale na dole było cicho i ciemno.

Opuścił więc balkon, pobiegł przez sypialnię na schody i zbiegł na dół do szynkowni, gdzie mały płomień gazowej lampy rozpraszał ciemności. W szynkowni nie było nikogo. Zebrał więc ze stołu zapalki i zapaliwszy świecę, zszedł do piwnicy. Znalazł ją również pustą. Powrócił więc do sypialni. Ze świecą w ręku wszedł do pokoju rodziców i zobaczył straszny obraz.

Na ziemi, koło łóżka, leżał w kałuży krwi jego ojciec i matka, przechylona na piersi ojca. Przeżony chłopiec, który nawet nie przeczuwał, co się stało, domyślił się teraz, skąd pochodzi krew, domyślił się, że ojciec jego nie żyje.

I pani Hanier, która dopiero teraz zobaczyła to, co przedtem tylko za pomocą dotyku widziała, zerwała się nagle jak szalona. Pobiegła do okna, otworzyła je i poczęła krzyczeć: „Morderstwo! Morderstwo!“

A ulice były puste; wiatr jeno dzwonił o szyby i jęczał, tłumiąc głos nieszczęśliwej.